

„O krasnoludkach i sierotce Marysi” Maria Konopnicka

IV

Zatrzymał się Koszałek-Opalek i z wolna fajeczkę pykał, a dzieci, choć nic nie mówił, słuchały, wpatrzone w niego. Po małej chwili rzekł:

— Długo tak było, nie wiem, bo o tym nie stoi w naszych księgach. Ale się potem czasy odmieniać zaczęły. Nie stało tych dobrych panów z Lechowego rodu; a ci nowi precz się ze sobą darli, bo ich panowało razem cości aże dwunastu. Dopieroż lud sobie owe swary uprzykrzył, tych kłótników het precz przepędził, a jednego pana znów obrał.

Ano, uciszyła się trochę ta kraina, alić ledwo że słońce zaświeciło nad nią — znów przyszła burza.

Jako szarańcza pada na posiew zbożowy, aby go wyniszczyć do żdźbła, tak na te pola lechickie padły Niemcy, a ich książę chciał gwałtem naszą panią brać i sam nad nami panować. Mówię: naszą, bo choć my byli tylko Bożęta, ale w te prastare błogie czasy jedność była i z narodem my się jak bracia trzymali.

Pani jednak nie chciała Niemca.

— A ja wiem! — krzyknęła nagle cienkim głosem Kasia Balcerówna. — To była Wanda!

— A ja też wiem! — jeszcze cienie zapiszczała Zosia Kowalczanka.

I nuż jedna przed drugą wyciągać:

Wanda leży w naszej ziemi, co nie chciała Niemca...

Pokiwał na to Koszałek-Opalek głową i rzekł z uśmiechem:

— A nie chciała!... Wiem! Znam!... Toć ta cała pieśń w naszych księgach stoi. Toć my od najdawniejszych czasów uczym jej małą wiejską dziatwę! Jakże!... Ja sam już ze sto dzieci jej nauczyłem. A was któż zoczył?

— A my nie wiemy.

— No, to pewno ja! Drugi raz to się zdaje, że tak w powietrzu cości gada albo śpiewa.

— Prawda! — przywórtzyli chłopcy z powagą.

— No to widzicie, Krasnoludki tak gadają i śpiewają! Tylko że maluśkie, to ich nie widać, jak się tam pokryją we zboża, albo w trawy na łąkach, albo między te listeczki w gaju, albo pod te kamyczki polne. Ano dobrze!...

Jak też pani Niemca nie chciała, tak się zrobiła wojna. Zaraz zaczęły na ten kraj lecieć kruki, wrony, zaraz zaczęły wilki wyć, zaraz się niebo czarnymi chmurami oblokło.

My też zaczęli z głodu przymierać, bo i chleb, i sery, wszystko szło dla tych wojaków, co się z Niemcami bili. Wymizerował się kraj cały, wymizerowały się i Bożęta z nim razem. Aż jak

się też naszej pani serce ścisło, że wojna o nią cały naród trapi, tak zaraz w rzekę skoczyła, we Wisłę, i zaraz się utopiła. Tak dopiero Niemce poszły precz, a u nas pokój nastał. Ale że się czasy tak przez tę wojnę popsuły, że to na nic! Już brat bratu na zdradzie stał, już mocny tego słabszego krzywdził, już chciwiec sierocy zagon przyorywał do swojego pola. A jako tam, gdzie krzywda i łzy sierot, szczęścia być nie może, nastaly złe pany w tym kraju, co się nazywały Popiele.

— Laboga! — zapiszczała Kasia — Popiele?

— Czegoż wrzeszczysz? — ofuknął ją Stach Szafarczyk. — Cóż to za dziwota? Przecie to te Popiele, co jednego myszy zjadły!

— Przecie — przywtórzyl z wielką powagą Józik Srokacz.

Ale Koszałek-Opalek, puściwszy dymek z fajki, tak dalej prawil:

— Różnie to tam powiadają o tych myszach, tak i tak. Dawne to czasy i dziś nikt nie dojdzie już, jak było. Ale że w naszych księgach stoi, że to nie myszy były, tylko właśnie Bożęta, które się w mysie kożuszki przybrawszy, iż zima była tęga, a widząc, jako ten Popiel ze wszystkim źle panował, hurmem

się z mysich nor na niego rzuciły i tak go poturbowały, że to na śmierć.

Tak stoi w naszych księgach. Czy to prawda, czy nie prawda, trudno wiedzieć. Ale że mój prapradziad sam mi powiadał, że nim z wielkiej starości oślepl, to widzial raz okrutne jezioro, a na nim srogą wieżę, gdzie się to stać miało, która to wieża do dziś się Mysią Wieżą zowie! A znów jezioro — nazywa się Gopło.

Ano dobrze!

Tu, iż mu fajeczka zagasła, począł Koszałek w popiele iskierki szukać, a znalazłszy, pociągnął parę razy z cybucha, za czym puścił kłęb dymu i tak mówił dalej:

— W tych starych księgach to jest tak:

Tu parę kart brak, tu znów parę tak pożółkłych i wyblakłych, że ani przeczytać, tu znów wielka czarna rysa w poprzek, albo wzdłuż; to i nie wszystko wiedzieć można, co tam przed wieki wpisywał ktoś do nich.

Ale czy dobre były czasy, czy złe, to zaraz poznać można. Jak dobre, to z tych kart, żeby i najstarszych, taka światłość bije, właśnie jakoby słońce weszło; a jak złe, to się taki mrok po nich rzuca, jakby w noc ciemną, kiedy to ani gwiazd, ani miesiąca nie ujrzy nad ziemią...

Takie to są te stare księgi Krasnoludków!

„Dym” Maria Konopnicka

Ale jednego razu, kawał jeszcze do ranka było, chłopak się z krzykiem ze snu porwał sam i na pościeli siadł.

Matka już była przy nim.

— Co to? Co ci, synku, co? — pytała troskliwie.

Nie odpowiadał. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, usta miał drżące, czoło w zimnym pocie. Rozpięta na piersiach koszula podnosiła się od mocnych, głośnych prawie uderzeń serca.

Objęła go ramionami matka.

— Co ci to, synku, co ci to? — pytała, tuląc chłopaka, jakby małe dziecko.

Długo uspokoić się nie mógł.

— Nic, mamó — przemówił nareszcie z widocznym wysiłkiem — nic... — Tylko śniło mi się... że... piorun uderzył we mnie.

Wdowa ścierpła. Ale nie dała tego poznać po sobie synowi. Chciała przemówić, głos uwiązł jej w piersi.

Chłopak siedział na tapczanie sztywny, prosty, patrząc przed siebie wystraszonego wzrokiem.

— Piorun, mamó — mówił cichym, urywanym głosem — taki czerwony, straszny, jak smok. Na piersi mi padł, mamó... taki straszny... czerwony...

Umilkł i dyszał głośnie.

Wdowa opanowała się jakoś.

— Co tam, synku! — mówiła, głaszcząc go po rozpalonym policzku. — Co tam!... Sen mara, Bóg wiara. Co tam, synku!

A gdy chłopcu głośnie zaszczekały zęby, przysiadła przy nim, przycisnęła głowę jego do swych wyschłych piersi i tak go kołysała, jak kiedy niemowlęciem był.

Chłopak się ukoił, utulił wreszcie i na poduszkę opadł.

— Niech mama już idzie — rzekł — niech mama idzie, położy się... Ja usnę...

Ale nie usnął. Leżał na wznak, z otwartymi szeroko oczyma, wpatrzony w gasnące na wschodzie nieba gwiazdy.

Spojrzała na niego raz i drugi.

— A czemu nie śpiesz, synku? — spytała.

— Nie mogę, mam... — odpowiedział cicho, skarżącym się głosem.

Podeszła i siadła przy nim.

— Nic się nie trap, synku! — przemówiła. — Nic się nie trap! Albo to na to ten Pan Bóg miłosierny pioruny w niebie chowa, żeby zaś nimi wdowie niebogiej jedyne syneczka ubijać? Nie da tego Pan Jezus i ta Matka Przenajświętsza... A ja ci to powiem, że piorun wesele znamionuje, kiedy się kawalerowi, albo pannie śni. Ot co, widzisz, piorun znamionuje... Przecie sennik mam, to wiem.

Mówiła to z uśmiechem, wesoło niemal, ręką wyschłą po czole jego wodząc i włosy mu gładząc, aż chłopak dobrej myśli począł być i też się uśmiechnął.

— To mama mówi, że wesele? — spytał.

— A przecie, że nie co! Wesele, huczne wesele...

Zamyślił się chłopiec, a po chwili rzekł:

— To ja już wstanę, mam...

— Wstań, synku, wstań... Zgotuję śniadanie, jak sobie podjesz, to cię to odejdzie.

Jakoż odeszło. Weselej nawet było tego ranka, niż zwykle w izdebce, bo chłopak, czasu dość mając, jedną po drugiej piosenkę na prześcigi z kosem gwizdał, aż ptaszysko zachrypło i, kiedy przyszło do Zosi, co jej się chciało jagódek, gwizdało tak żałośnie, jakby kto przez nos śpiewał. Uśmieł się Marcyś, uśmieła się matka, i tak się w radości rozstali. Kiedy wyszedł, wdowa stanęła przy drzwiach i nasłuchiwała oddalających się kroków. Lekkie były, różne, swobodne, zwyczajnie młode nogi... Nawet spaczone i spróchniałe schody nie skrzypiały dziś tak, jak zazwyczaj. Dopiero kiedy chłopak drzwi za sobą zatrzasnął, rzuciło się w niej serce jakimś nagłym strachem, tak łoskot ich był głuchy, podziemny i takim przeraźliwym echem odbił się w pustych sieniach. Podbiegła do okienka, aby wyrzeć za synem.

Szedł lekko, śpiesznie, z podniesioną głową, a kiedy miał już przejść furtkę w fabrycznym murze, odwrócił się i spojrzął w górę. Może w okienko, a może tak sobie...

W chwilę później gęsty, czarny dym walił z fabrycznego komina.

Godziny upływały. W schludnie sprzątniętej izdebce zrobiło się cicho; stary zegar z jaskrawą różą na pożółkłej tarczy cykał opieszale na ścianie, kos próbował najweselszych kurantów, pociesznie walcząc z swym ochrypłym głosem, a wdowa może z myślą o owym śnie syna, co to wesele znamionował, przeglądała swe odświętne odzieże.

Naraz rozległ się huk straszliwy. Zatrzęsły się ściany, posypał gruz z komina. Okienko z szczękiem wypadło. Wielki, iskrzasty słup dymu buchnął w niebo razem z fontanną cegieł i wielkimi odłamami rozwalonego komina, wypełniając izbę przeraźliwym blaskiem. Wdowa, jak stała, tak skamieniała słupem. Ani jednego krzyku nie wydały jej zmartwiałe usta. Tylko

się siwe włosy podniosły nad czołem, tylko rozszerzone źrenice zbieleły, jakby u trupa, nagłą jakąś zgrozą...

Może nawet nie słyszała dzikiego wrzasku, jaki bił z ulicy:

— Kotłowy!... kotłowy zabity!

*

Długo jeszcze potem lata siadywała w tym samym okienku, patrząc osowiałym, smętnym wzrokiem na fabryczny komin, z którego biły w górę sine słupy dymu.

Dym ten wszakże nie przybierał już teraz dawnych rozlicznych kształtów, tylko zawsze zamienił się w mglistą postać jej drogiego chłopca. Zrywała się wtedy ze stolka i wyciągała drżące, wyschłe ręce. Ale mglistą postać wiatr unosił i rozwiewał ją gdzieś w błękitach...

„Nasza szkapa” Maria Konopnicka

Tak nam ta wyprawa zasmakowała, żeśmy się tylko pytali, co trzeba wynosić.

Szczególniej Felek coraz miał nowe pomysły. Jak tylko wrócił z ochrony, zaraz ręce na plecy zakładał, po izbie chodził i po kątach, jak taksator patrzył.

— A może by, proszę ojca, garnek żelazny? A może by balię, albo zegar?

— Poszedł precz! — fuknął na niego ojciec, który teraz prawie ciągle był czegoś zły i smutny.

— Felek! Co ty gadasz? — odezwała się słabym głosem matka. — A toć byś ty niedługo duszę w ciele sprzedał?

Ja i Piotruś zaczęliśmy także silnie protestować.

— Ale!... Garnek!... Jeszcze czego!... A w czym to będziemy gotowali kaszę, albo i ziemniaki?

— Albo zegar!... — dodał z oburzeniem Piotruś.

— A jakże będziesz bez zegaru wiedział, kiedy ci się jeść chce, albo spać?...

— Ojej!... — wołał Felek z miną skończonego libertyna — żeby o co, jak o to!... A ty, czy zegar pokazuje, czy nie pokazuje, tylko byś ciągle jadł.

— A ty sklepikarce po bułki latasz, żeby ci *kadryla* dała.

— Nie latam! — odparł, zaczerwieniwszy się, Felek.

— Latasz!

— Nie latam!

— Owszem, latasz! Sam widziałem, jakeś *kadryla* jadł...

— Ja *kadryla*?... Jak Boga kocham, tak nie jadłem!...

Tu uderzył się pięścią w piersi, aż echo jęknęło.

— No to chuchnij!...

Nastawił się Felek i chuchnął, aż para poszła. Z próby tej wyszedł z tryumfem. Nic nie zdradzało spożycia *kadryla*, a z głębi zapadłej brzuszyny dobyła się tylko czczość wielka.

Wszakże przegłosowany Felek nie tracił miny.

Pewnego dnia, obchodząc izbę i poglądając po ścianach, wykrzyknął nagle.

— A rondel, proszę ojca! A moździerz! A żelazko!...

Struchleliśmy, słuchając. Rondel, moździerz i żelazko — to były niemal klejnoty rodzinne. Na półce wprost drzwi ustawione, błyszcząły olśniewające, złote prawie. Środkowe miejsce zajmował rondel. Jak zapamiętać mogę, nigdy nie widział, żeby się w tym rondlu co gotowało. Byłoby to profanacją po prostu. Co sobotę wszakże czyściła go matka cegłą lub popiołem, i tak świecący stał z wystawionym na izbę uchem, błyskając w same oczy, gdy się do stacji wchodziło. Przy nim stał moździerz z tłuczkiem z jednej strony, a żelazko z drugiej. Moździerz był rówieśnikiem moim. Kupił go ojciec, gdym na świat przyszedł, aby matkę uradować i dobre jej serce za syna okazać. Żadnego wszakże z jednolatków moich w podwórzu, ba, na całej ulicy, nie szanowałem tak, jak szanowałem ten moździerz. Matka zdejmowała go raz do roku tylko, w Wielki Piątek, aby tłuc cynamon do wielkanocnego placka. Wtedy to zwykle powtarzało się to opowiadanie, w którym ja i moździerz byliśmy bohaterami. Właściwie różniliśmy się tym tylko, że mnie przyniósł bocian za darmo, a za moździerz trzeba było zapłacić. Nic więc dziwnego, że istnienie tego moździerza uważałem za ważniejsze, aniżeli moje własne, zwłaszcza patrząc na poszanowanie, jakiego stale używał, podczas gdy ze mną różnie bywało i wówczas, i potem...